

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki – I wojna światowa

W tym roku przypada 100. rocznica wybuchu I wojny światowej, która obejmowała lata 1914–1918. Dominik opisał trudy, ciężary i ofiary, jakie musieli ponosić mieszkańcy Urzędowa już na początku wojny. Jest to ważne, bowiem odnotował to świadek wydarzeń – syn gospodarza. Bolesna była utrata z trudem wypracowanych, niezbędnych do życia produktów rolnych, inwentarza, a dla nich całego dobytku. Zawarte opisy odnoszą się tylko do drugiej połowy roku 1914, gdyż na początku 1915 r. Dominik został jako rekrut wcielony do armii carskiej. W jego życiorysie otwiera się nowa karta.

Wybrane fragmenty zapisów:

Wszystkimi drogami, gościńcami ciągną pułki wojska rosyjskiego z taborami, armatami i pociskami armatnimi, i całym ekwipunkiem na zachód, na front rosyjsko-austriacki i rosyjsko-niemiecki. W sklepach daje się odczuć brak różnych towarów, środków żywności, a szczególnie soli i nafty, nie mówiąc o wódce. Wszystkie napoje alkoholowe zostały skonfiskowane i w dniu ogłoszenia wywiezione na pola i łąki. Butelki potłuczono. Piwo, spirytus, wódka, wino bądź wsiąkło w ziemię, bądź popłynęło rowami i rynsztokami. Wojsko z pogranicznych garnizonów nie mogło powstrzymać naporu wojsk austriackich i niemieckich, ostrzeliwując wroga cofało się na wschód.

Dnia 24 sierpnia 1914 roku wieczorem z kilkoma kolegami udałem się do miasta, a potem na Zakościelne Przedmieście na randki z panienkami. Około godz. 10 wieczorem zatrzymaliśmy się: ja, Julek Gałkowski i Romek Jagiełło na rynku i plotkowaliśmy na temat spotkania z panienkami. Naraz od Wodnej ulicy słyszemy tentent kopyt końskich. Do naszej grupy podjechało kilku ułanów austriackich. Wywiązała się rozmowa na temat wojny. Ułani dowiedzieli się, że wojsko rosyjskie z okolic Urzędowa wycofało się, a ranni rosyjscy żołnierze ze szkoły Jagiellońskiej wczoraj ewakuowani zostali na podwodach na wschód. Wielu ciężko rannych żołnierzy zmarło na punkcie opatrunkowym w szkole, trochę umarło w czasie podróży na podwodach. W okolicy Borzechowa Rosjanie zorganizowali linię oporu z pułków przybyłych z Rosji. Na tym odcinku wojska austriackie poniosły duże straty, w wyniku czego Austriacy cofali się na zachód przez Urzędów dn. 14 września 1914 roku.

Ta pierwsza okupacja Urzędowa przez wojska austriacko-węgierskie trwała 26 dni. W ciągu tego krótkiego okresu ojciec mój był jeden raz wysłany celem przewiezienia rannych żołnierzy austriackich do Annapola. Droga z Urzędowa do Dzierzkowic była bardzo uciążliwa, koła wozu głęboko zapadały się w sypki piasek. Drogi bitej nie było. Na tej drodze Austriacy mieli wielkie kłopoty w czasie przewożenia ciężkich armat z nabojami artyler-

ryjskimi i wozami z prowiantem. Pewnego dnia sołtys z polecenia władz wojskowych wyznaczył z każdego domu 1 mężczyznę z siekierką a niekórego z piłą na zbiórkę na rynku, gdzie my z Bęczyna zastaliśmy już dużą gromadę ludzi pod nadzorem żołnierzy węgierskich. Za chwilę przyjechało wierzchem na koniach dwóch żandarmów. Na przedzie jechał jeden żandarm, za nim całą wielką gromadą szliśmy pieszo przez Wodną ulicę a za nami jechał drugi żandarm z nahajką w rękę i przewieszonym przez ramię karabinem. Szliśmy bardzo szybko ponaglani przez żandarmów. Zatrzymano nas w młodym sosnowym lesie, gdzie kilkanaście lat temu sadziłem na „kopaniach” młode sosenki. Kazano nam te drzewka wycinać, obcinać gałęzie i znosić na tę piaszczystą drogę. Robota szła szybko. Jedni ścinali i okrzesywali gałązki, inni ciągnęli te drzewka do drogi, a jeszcze inni pod nadzorem żołnierzy układali w poprzek drogi drzewka w rodzaju podłogi. Żandarmi pilnowali nas, żeby ktoś z lasu nie „zwiął”. Przez osiem godzin cała część piaszczystej drogi była wymoszczona młodymi pięknymi drzewkami. Teraz koła po tych drzewkach tylko podskakiwały, ale w piachu nie grzęzły.

W pierwszym rzędzie wycofywały się obozy składające się z furmanek galicyjskich. Nad każdym wozem była rozpięta plandeka na rozpostartych pałkach, zabezpieczających przed deszczem. Furman siedział w tej budzie, kurzył fajkę porcelanową na długim cybuchu i popędzał konie w krakowskiej uprzęży. Za obozem a przed piechotą wycofywała się austriacka kawaleria. Ułani ubrani byli w granatowe mundury i czerwone spodnie, bez pik (nie tak jak kawaleria rosyjska). Przez pola szli pieszo, prowadząc zmęczone konie. Szable mieli przytroczone do siodeł na koniach. Wprowadzali konie koło stodoły na ulicę. Chcieli wejść do środka zabudowań gospodarskich. Furtkę zamknąłem, a sam schowałem się na stare obory na siano. Pochodzili koło furtki, wyważyli wrota, ale furazę nie brali. Wrotnie ułożyli na płocie i dwóch słupkach, co miało służyć im za stół. Na tym stole poustawiali kubki, napelnili je winem. Zajadali kiełbasę z chlebem i popijali winem. Konie były uwiązane i przytwierdzone do powbijanych haków na ścianie wozowni. Posilili się, pogwarzyli, siedli na konie i pojechali uliczką w stronę lasu, a potem udali się w stronę Dzierzkowic, w kierunku Wisły.

Powrót Moskali

Teraz wojska rosyjskie przeszły do ofensywy. W dalszym ciągu dniami i nocami maszerują pułki rosyjskie na zachód. Jadą armaty, podwozy z amunicją, prowiantem i furazem dla koni oraz dymią kuchnie polowe, gotując pożywienie dla żołnierzy. W powietrzu unosi się huk

armat, a nocą widać liczne łuny pożarów. Jedne zabudowania zapalają się od wybuchu naboju armatnich, a inne są celowo podpalane, aby to nie dostało się przeciwnikowi. Każda ustępująca strona zostawia za sobą zgłiszczca, a kto na tym cierpi? My, Polacy. Nasz dorobek, nasze mienie idzie z dymem, a pozostają miejscowi ludzie bez środków do życia, bez dachu nad głową.

Podwody

Najprzykrzejszą sprawą dla właścicieli koni jest dostarczanie podwód dla przewożenia amunicji, furazu, produktów żywnościowych. Wyjazd taki jest bezużyteczną stratą czasu, niebezpieczną i niewdzięczną. Dlatego każdy z chłopów starał się od tego wymigać, wykręcić wszystkimi możliwymi sposobami. Dzień 14 października 1914 roku. Deszcz leje jak z cebra. Na zachodzie, nad Wisłą na całej linii huk armat, a niebo oświetlają łuny pożarów. W taką to noc sołtys wyznacza ojca na podwodę. Ojciec tłumaczył się, że niedawno wrócił, że wóz zepsuty. Ani sołtys, ani żołnierz mu nie wierzą. Z latarnią idą do wozowni i co widzą, a to, że wóz stoi na trzech kołach. Żołnierz pyta a gdzie czwarte. Ojciec odpowiada, że w poprzednim czasie na podwodzie koło się złamało, że musiał wrócić na wozie o trzech kołach. To ja zdjąłem koło i schowałem je w zapolu pod słomą. Idą dalej. Banaszek ma dać jednego konia, a stryj drugiego i na podwodę pojedzie swoim wozem Banaszek, a ten nie w ciemną bitą chłop w progu łapie żołnierza za rękę, prowadzi do mieszkania, daje butelkę wódki żołnierzowi i sprawa załatwiona, bo Banaszka zaraz „brzuch rozboleł”. Stryj ze swym synem ulotnili się. Żołnierz krzyczy na żonę stryja. Szukaj gospodarza, a to ciebie zarżnę i wydobył z pochwy szablę. Stryjka uderzyła w głośny płacz. To wszystko słyszał jej syn Andrzej na strychu. Wszedł do izby, ubrał się ciepło i pojechał.

Sołtys, znając nasze warunki rodzinne (głuchota ojca), innym razem ostrzegł nas, że prawdopodobnie w nocy żołnierze będą szukać podwód. Chcąc uniknąć tych nieprzyjemności ubrałem się ciepło i wyjechałem na całą noc, zabierając oba konie. Zatrzymałem się w dołach i uwiązałem konie w tarninach przy gruszy. Początkowo słuchałem, czy się kto do mnie nie zbliża, a potem ułożyłem się pod tą gruszą i przespałem do rana. Rzeczywiście szukali podwód. Kiedy się wszystko uspokoiło, siostra przywiozła mi pożywienie. Do domu wróciłem rano następnego dnia.

Rekwizycje

Drugą plagą dla gospodarstw rolnych były rekwizycje paszy dla koni. Ze względu na duże odległości i brak dróg bitych oraz kolei w Rosji i zaborze rosyjskim z głębi Rosji nie można było zaopatrywać żołnierzy w prowiant, a koni w owies, siano i koniczynę. Cały ciężar spadł na ziemię polskie. Władze carskie wojskowe uciekały się do terroru, gwałtów i przemocy w stosunku do ludności polskiej celem zdobycia prowiantu. Dnia 9 października 1914 roku zarekwirowały ojcu 2 firy koniczyny za 8 rubli, a 18 października kozacy zabrali resztę koniczyny

– 65 pudów za symboliczną zapłatę 18 rubli. Nic nie zostawili dla naszego inwentarza żywego na całą zimę. Dnia 28 października zarekwirowali nam 150 snopów owsa za 30 rubli. Dnia 4 października przeprowadzili na Bęczynie mobilizację koni. Ojcu wzięli za bezcen młodą piękną źrebicę. Chcąc zabezpieczyć swój inwentarz żywy w paszę, dn. 20 października całą noc z ojcem młóciłem owies. Ziarno z plewami zsypano do głębokiego dołu wymoszczonego słomą, przysypaliśmy ziemią i na tym ułożyliśmy słomę, którą po kilku dniach kozacy zabrali bezpłatnie. Ziarna zakopanego nie zauważyli, to nam zostało na zimę dla naszego jednego konia. Po całonocnej ciężkiej młóce ojciec rozchorował się i musiał przez kilka dni leżeć w łóżku.

Sforsowanie Wisły

Po kilkunastodniowej walce wojska rosyjskie sforsowały Wisłę i zmusiły wojska austriacko-węgierskie do cofnięcia się. Na gwałt zaczęli Rosjanie budować przy pomocy ludności cywilnej, pod ogniem artyleryjskim, most na Wiśle. Oprócz żołnierzy zginęło dużo cywilnej polskiej ludności od ognia armatniego niemieckiej artylerii. W dalszym ciągu dniem i nocą spieszą nowe posiłki piechoty i kozaków z głębi Rosji.

W Urzędowie w 2 szkołach rozlokował się szpital wojskowy. Zwożą rannych żołnierzy z frontu, robią opatrunki i wywożą rannych na podwodach do stacji w Nałęczowie i w Lublinie. Na Bęczynie rozlokowali się sanitariusze i służba szpitalna. Armaty na kilkanaście dni ucichły. Niemcy i Austriacy część artylerii zdążyli wycofać, a część zostawili na placu boju. Rosjanie wstrzymani strzelaniną, nie chcą razić ze swoich armat swoich żołnierzy. Wczesnym wieczorem rozlokowała się na Bęczynie i w naszej ulicy i sadzie kozacka kawaleria. Całe obejście gospodarskie zatłoczone kozakami i ich końmi, że nie można było przejść z domu do stodoły, obory i stajni. Ojciec polecił mi jakoś przecisnąć się, aby dać pożywienie na noc koniom i bydłu. Wtem słyszę: „Uwaga szpieg”. Tym szpiegiem ja miałem być. Zatrzymali mnie i pytają, kto ja jestem i dlaczego kręcę się między kozakami. Wyjaśniłem, że tu mieszkam i idę do stodoły obrządzić na noc inwentarz żywy. Zainteresowało ich to, że na głowie miałem uczniowską czapkę ze znakiem naszej szkoły – polskimi literami US (Ursynowskie Seminarium). Uwierzyli mi, ale dali dwóch kozaków do towarzystwa, którzy sprawdzali, czy rzeczywiście będę dawał pożywienie. W ich asyście przyszedłem do domu. Niewiele brakowało, abym dostał kulą w łeb. O świcie wyjechali na front. Za nimi pociągnął obóz szpitalny do Józefowa. Dn. 29 października 1914 r. przez Bęczyn przechodziły dwie duże partie Austriaków i Niemców do rosyjskiej niewoli. Jeńcy prosili ludność o chleb i wodę. Konwojenci rosyjscy nie pozwalali zbliżać się do nich z chlebem, wodą. Wśród jeńców austriackich było dużo Polaków.

Wyprawa do Józefowa

Dn. 5 listopada 1914 r. ja, Walek Żyszkiewicz i Stach Cieślík po śniadaniu wybraliśmy się pieszo do Józefowa

(21 wiorst) zobaczyć to miasto po opuszczeniu go przez Austriaków. Zobaczyliśmy całe miasteczko w gruzach. Tylko sterczące okopcone pojedyncze kominy świadczyły, że tu mieszkali ludzie. Na środku rynku był obóz składający się z furmanek podwodowych, przy których paliły się ogniska, a przy nich grzali się furmani. Konie zaprzęzione do wozów stały i obojętnie chrupały obrok, aby nasycić się i nabrać siły przed dalszą, a nieznaną podróżą. Ciekawiło nas jeszcze i to, jak wygląda Wisła i nowo budowany most na tej rzece. Ten most prowizoryczny zbudowany był przez saperów i okoliczną ludność na pontonach. Przeszliśmy na drugi brzeg, ale tam oprócz pustego pola nic nie było do oglądania. Wróciliśmy zaraz i pospieszyli do domu, bo wieczór się zbliżał. Do domu wróciliśmy o 7.00 wieczorem spoceni, zmęczeni i głodni bez obiadu. Ale zaspokoiliśmy swoją ciekawość.

Budowa kolei

Front oddalał się daleko na zachód i południe. Życie powoli zaczęło wracać do normy. Rosjanie zrozumieli, że przy dawnych środkach lokomocji trudno dalej będzie

skutecznie prowadzić wojnę, przywozić końmi i furmankami wszelkie prowianty, amunicję z odległych stacji kolejowych w Nałęczowie i Lublinie. W drugiej połowie października zaczęto budować linię kolejową Lublin–Kraśnik–Rozwadów. Na gwałt zaczęto gromadzić materiały do budowy, sypać nasyp, równać teren, budować mosty przez rzeki. Do prac ziemnych angażowano robotników, częściowo płatnych, a częściowo w drodze „szarwarków” z przymusu. Furmankami wywożono ziemię z wysokich terenów, a zasypywano niskie. Razem z innymi mieszkańcami w drodze szarwarku musiałem brać udział w tej budowie. Zborny punkt dla robotników, składy szyn kolejowych, podkładów i narzędzi był dla nas w Pułankowicach. Tam też miał prowizoryczne mieszkanie i biuro drogomistrz, który kierował robotą na tym odcinku. Dużą przeszkodą w pracy było to, że już 20 listopada chwyciły mrozy i spadł obfity śnieg, ale po dwóch tygodniach ociepliło się do tego stopnia, że chłopcy orali pola, których zaorać nie mogli w jesieni z powodu działań wojennych na tym terenie.

*Wybrał i do druku przygotował
Tadeusz Surdacki*

Jan Lucjan Kochanowski

Dekret PKWN o reformie rolnej z 1944 r. – garść wspomnień i refleksji

6 września upłynęła 70. rocznica uchwalenia w 1944 r. przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego Dekretu o reformie rolnej, jednego z pierwszych podstawowych aktów normatywnych wcielonych w życie przez władzę ludową przyniesioną na radzieckich bagnietach. Ogłoszenie dekretu stało się preludem do wprowadzenia do polskiego rolnictwa systemu sowchozów i kołchozów na wzór ZSRR.

Dekret był wyrokiem na ziemiaństwo – resztkę warstwy społecznej pozostałej po 1939 r. na obszarze byłej Generalnej Guberni. Doprowadził ją do materialnego niebytu włącznie z wielowiekową kulturą ziemianką, która stanowiła fundamentalny wkład do rozkwitu kultury narodowej, a zwłaszcza jej utrzymywania w czasie zaborów.

Podczas okupacji w prasie konspiracyjnej była mowa o reformie rolnej. Zapowiadał ją rząd emigracyjny w Londynie, a „trąbili” wręcz o niej promoskiewscy komuniści. W swojej piętnastoletniej mentalności nie przywiązywałem do sprawy reformy większej wagi. Wprawdzie ojciec wdrażał mnie już intensywnie w gospodarowanie majątkiem ziemskim, ale ja przecież miałem zupełnie inne plany na swoją przyszłość. Przede mną stały wszak otworem dalekie morza i oceany.

Pierwszych czerwoarmistów zobaczyliśmy z daleka 23 lipca 1944 r. – większy ich oddział maszerował przez

kolonię kępską w kierunku Chodla. Dzień wcześniej powstał w Chełmie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

Zanim w naszym gminnym Chodlu powstał pierwszy organ władzy ludowej – posterunek Milicji Obywatelskiej, zainstalował się tam wszechwładny radziecki komendant wojenny. Chodził w oficerskiej czapce z chabrowym denkiem i malinowym otokiem, jak się później okazało złowróżbnymi barwami NKWD. Wkrótce front ustabilizował się na Wiśle i do 16 stycznia 1945 r. pozostawaliśmy w strefie przyfrontowej, której panem życia i śmierci był wojenny komendant, co nie przeszkadzało panoszeniu się radzieckich maruderów.

Plakaty Manifestu PKWN zapowiadające między innymi reformę rolną pojawiły się na wiejskich tablicach ogłoszeń w pierwszych dniach sierpnia. Nie wiadomo, kto je rozwieszał – chyba sami Sowieci, bo organów PKWN w naszej okolicy jeszcze nie było.

W połowie sierpnia pojawili się w Łopienniku pierwsi przedstawiciele władzy ludowej. Przybyli amerykańskim willysem. Było to trzech berlingowskich podporuczników. Sądząc z ich siermiężnego, ale nowiutkiego umundurowania i zachowania się, zostali zapewne niedawno wypromowani. Jedynie ich rogate polówki przypominały nieco piękne polskie mundury sprzed wojny, ale na polówkach, zamiast legionowych orzełków w koronie,

tkwiły rozkraczone, tłuste kury, które nawet radzieccy towarzysze broni nazywali „kuricami”. Mieli oni uświadamiać służbę folwarczną i małorolnych chłopów o dobrodziejstwach reformy rolnej. Jeden z nich najpierw sprężyście zameldował się ojcu a następnie grzecznie i nieśmiało poprosił, aby cała służba folwarczna stawiała się za godzinę na wiec. Tego dnia była sobota i apogeum żniwnie. Nie wiem z czyjej inicjatywy, ale na wiec nie zgłosił się nawet przysłowiowy „pies z kulawą nogą”. Przyszedł tylko zakłopotany karbowy i drapiąc się po głowie powiedział: „Ludzie muszą skończyć stawianie sterty, bo zanosi się na deszcz, może panowie agitatorzy zaczekają do wieczora, albo przyjadą w niedzielę, jak wrócimy z kościoła”. Agitatorzy zjedli z nami obiad, bezradnie pokręcili się po parku, podziękowali ojcu za gościnę, odmeldowali się i ulotnili.

Stopniowo opuszczali dwór nasi liczni wojenni lokatorzy. Wyjechałem i ja, bowiem na 15 sierpnia dyrektor Gimnazjum im. St. Staszica w Lublinie, gdzie miałem uczyć, wzywał wszystkich licealistów do porządkowania gmachu gimnazjum po wojskowym szpitalu niemieckim, ale głównie po mieszczącym się po nim szpitalu radzieckim. Nie byłem więc bezpośrednim świadkiem dezintegracji naszego majątku ziemskiego zakończonego najazdem NKWD.

Dezintegrację zapoczątkowały „legalne” rekwizycje na polecenie wojennego komendanta i rabunki maruderów, których na zapleczu stabilnego frontu nie brakowało. Zaktywizowali się również lokalni rabusie. Z dnia na dzień ubywało świń, krów, koni, wozów i uprzęży, zniknęło nawet zboże pozostawione na polu w mendlach. Powszechny rabunek wszystkiego co dworskie skłonił ojca do interwencji w powstałej już w międzyczasie i obsadzonej przez miejscowych pepeerowców placówce Milicji Obywatelskiej w Chodlu. Okazało się to bezcelowe, milicjanci byli nieliczni, wyjątkowo tępi i w ogóle bali się wytykać nosa poza Chodel. Bali się zarówno uzbrojonych maruderów, jak i antyreżimowego podziemia ROAK (Ruch Oporu Armii Krajowej), które już zaczęło się powoli konsolidować w terenie. Zdeterminowany ojciec dotarł nawet do samego wojennego komendanta, ale ten odprawił go z miejsca słowami: „Eto nie majo dielo”.

Wszyscy okoliczni ziemianie opuścili już swoje dwory, dlatego dziwiłem się ojcu, że nie idzie w ich ślady. Jego ambicją było jednak zakończenie żniw, przeprowadzenie wykopków oraz obsianie pól oziminami, wtedy dopiero zamierzał przekazać klucze od majątku jakiejś kompetentnej władzy. Wyjaśniał, że w ten sposób pragnie zapobiec klęsce głodu, który nawiedził okolicę po długotrwałych, wyniszczających walkach pomiędzy Rosjanami i Austriakami w latach 1914/1915.

Około połowy września moja siostra Izabella, uczęszczająca już do Urszulanek w Lublinie, dowiedziała się od naszego krewnego – ziemianina p. Nowakowskiego, że w teren ruszają właśnie specjalne ekipy NKWD, których celem jest rozprawienie się z niektórymi ziemianami pozostającymi jeszcze w majątkach i jakoby sabotującymi wdrażanie postanowień Manifestu PKWN. Z tą wieścią udała się niezwłocznie do Łopiennika i to jej jako świadkowi wydarzeń, które wkrótce nastąpiły, oddaje głos:

„Do Łopiennika dotarłam późnym wieczorem i przekazałam ostrzeżenie. Ojciec podjął decyzję wyjazdu wraz z domownikami następnego dnia. Porobił przygotowanie koni i wozu, jeszcze tego samego wieczoru. Następnego dnia, z samego rana pojechaliśmy linijką do krawca w sąsiednim Radlinie po uszyte rzeczy. Powoziłam jak zwykle, wtedy na wysokości grobli na moście w Radlinie spotkał nas zastęp odkrytych samochodów ciężarowych z gniazdami karabinów maszynowych obsadzonymi przez żołdaków NKWD, minął nas i udał się w kierunku tamtejszego dworu, który świecił pustkami. Wracaliśmy szybko do Łopiennika. Jeszcze nie zdążyłam zdjąć uprzęży z konia, gdy z dala, od strony wiatraka widać było pędzące sowieckie samochody – nie wróżyło to nic dobrego. Gdy dojechały do naszego dworu, rozpełtało się piekło. Wrzaski, bicie, krzyki, aresztowanie ojca i stryja. Temu wszystkiemu towarzyszyła grabież. Taki napad współczesnych dzikich Hunów. Samochody podejżdżały pod otwarte okna dworu, wyrzucano na nie wszystko jak kartofle. Pojedyncze egzemplarze książek ze zbioru wspaniałej biblioteki ojca (6 wielkich szaf) padały na brudną ziemię, wyrwane kartki miały służyć do robienia skrętów z machorki. Wyrzucano meble, dywany, sterty osobistych rzeczy i obrazy wyrwane z hakami. Główny politruk zwołał wiec służby folwarcznej i »oddał« jej obszarniczą ziemię, a ponadto uświadomił, że wszystkie obszarnicze rzeczy osobiste znajdujące się we dworze stanowią od teraz jej własność. Aby nie dopuścić do ukrycia czegokolwiek, zgoniono wszystkich domowników do jednego pomieszczenia, a tam miała ich strzec folwarczna warta”.

Wreszcie zagrały motory i obładowane dworskimi rzeczami sowieckie samochody odjechały, uwożąc aresztowanych. Łaska Boska sprawiła, że nie trafili na „białe niedźwiedzie”, skąd Polacy często już nie wracali, lecz jak się okazało po kilkudniowych poszukiwaniach, na zlej sławy lubelski zamek. Miano im bowiem wytoczyć pokazowy proces o sabotowanie reformy rolnej.

Jeszcze tego samego dnia siostra uzgodniła z nowo powstałym komitetem folwarcznym, że następnego dnia matka z dziećmi wyjadą wypożyczonym na wsi wozem do Lublina, zabierając nieco rzeczy osobistych i żywności. Sama postanowiła pozostać we dworze, ponieważ była już zaangażowana w odtwarzającą się w okolicy konspirację (ROAK). Należy dodać, że ze strony służby folwarcznej spotkały ją objawy współczucia i zrozumienia. Ludzie przynosili jej żywność, a ona przeznaczała ją na paczki dla ojca na zamek. Przewodniczący komitetu, komendant lokalnej placówki Batalionów Chłopskich z czasów okupacji, zaproponował jej, aby w przypadku pojawienia się obcych, przeistaczała się w jego córkę. Dość częstym gościem we dworze było NKWD. Pytali o siostrę, byli widocznie dobrze poinformowani. Należy tu dodać, że właścicielom ziemskim i członkom ich rodzin nie wolno było przebywać w promieniu 30 km od ich byłych posiadłości.

Święto nadania ziemi służbie folwarcznej i okolicznym małorolnym chłopom odbyło się w drugiej połowie grudnia 1944 r. Przybyli, wraz z orkiestrą, wysokiej rangi towarzysze z powiatu, wręczali karty decyzyjne nadziału

własności ziemi nie przekraczające 5 ha, z tym że na przydzielonych działkach nie wolno było się budować. Później był suto zastawiony stół i zaczęły się hulanki i pijaństwo. Następnego dnia dworski salon, w którym odbywały się tańce, wyglądał jak pobojuwisko. Po hucznej zabawie stracił tapety do wysokości człowieka a na pięknym dębowym parkiecie było tyle błota, że trzeba je było skrobać łopatą i wyrzucać na dwór, przez okno.

Stopniowo marnowało się i niszczało wszystko, co stanowiło integralną część ziemiańskiej siedziby i majątku. Zniknął chmielnik, bo wycięto wszystkie słupy. Sad owocowy został wycięty w ciągu kilku dni, a było tego 7 ha, które dawały tony wspaniałych owoców. Zniszczone zostały kwiaty na klombach i krzewy sprowadzane z zagranicy, a w ich miejsce panoszyły się pokrzywy. Z sadzawki z urokliwą wysepką przed samym dworem pozostało zarośnięte zielskiem bajoro. Drzewa w parku i drewno z zabudowań gospodarskich poszły na opał. Pozostawała pustka – rozdarta ziemia! To wszystko, o czym piszę, pochodzi z autopsji – bowiem jesienią 1945 r., zanim przenieśliśmy się na Ziemię Odzyskane, kilkakrotnie odwiedzałem swoje rodzinne gniazdo.

Słusznie stwierdzał sam Stalin, że łatwiej okulbaczy krowę, jak zaprowadzi nad Wisłą socjalizm. Radziecki system został wprowadzony w rolnictwie tylko częściowo, cały czas kulał, a jedynym pełnym jego sukcesem było wyeliminowanie i pogębienie ziemian jako dotychczas liczącej się w kraju warstwy i to zarówno w życiu gospodarczym, jak i społecznym.

Po ziemianach następnym gnębionym różnymi metodami wrogiem klasowym stali się kulacy. Zniszczyły ich do reszty powstające wiejskie spółdzielnie produkcyjne – odpowiednik kolchozów, które mimo materialnego i politycznego wsparcia systemu nie dotrwały nawet do upadku Polski Ludowej. Na uwagę zasługuje ogólna niechęć polskich rolników, nawet małorolnych, do kolektywizacji, zwłaszcza na obszarach polskich do 1939 roku.

Zarząd Państwowych Nieruchomości Ziemskich – odpowiednik radzieckich sowchozów, obsadzony głównie przez byłych ziemian, właściwie jedynych wówczas rolniczych fachowców, został właśnie z tego powodu „rozwalony” procesem swojego kierownictwa z Maringe’em na czele. Byli ziemianie, kierujący znaczną częścią majątków państwowych, zostali z dnia na dzień aresztowani lub zwolnieni z pracy. Powstały wówczas Państwowe Gospodarstwa Rolne (PGR), które z nielicznymi wyjątkami cały czas kulały ekonomicznie i organizacyjnie, i znikły równoległe z systemem, który je stworzył.

Jak się okazuje, z obdarowanych przez Polskę Ludową członków naszej służby folwarcznej gospodaruje obecnie w Łopienniku zaledwie kilku na większych, nawet kilkunastohektarowych gruntach. Wszyscy pobudowali się już dawno, bo czworaki rozpadły się i zostały rozebrane jeszcze w latach czterdziestych. Mimo nacisków ze strony lokalnych władz partyjnych, nie doszło w Łopienniku do powstania spółdzielni produkcyjnej. Pozostała część obdarowanych posprzedawała swoje przeważnie 3,5- lub 4-hektarowe działki i przeniosła się do miast lub na Ziemię Odzyskane i tam objęła znacznie większe i zaobniejsze gospodarstwa niemieckie.

Nawiązując do peerelowskiej reformy rolnej, pragnę wrócić do swoich dziecięcych i młodzieńczych odczuć, w świetle których nie wszystkie jej aspekty powinienem oceniać negatywnie. Mam na myśli prawdziwą przepaść w warunkach bytowych mieszkańców dworu i pracowników folwarcznych. Wspomniałem wyżej o czworakach, czyli mieszkaniach pracowników majątku, których nie tylko standard, ale i stan przed wojną, nawet według ówczesnych wymogów, nie spełniał socjalnego minimum i wołał o przysłowiową pomstę do nieba.

W naszym Łopienniku były 3 czworaki (dwa parterowe i jeden piętrowy) usytuowane wokół błotnistej po każdym deszczu, obszernego podwórza z centralnie usytuowanym źródłem wody pitnej – studnią z żurawiem i wiadrem, przy której było koryto do pojenia bydła. Odległość od studni do poszczególnych czworaków wynosiła blisko 100 m. Czworaki miały pojedyncze okna i nie były podpiwniczone i ogrzewane, były więc na zimę gacone nawozem bydlęcym, co okazało się wielce skuteczne, ale czy higieniczne? Osobne, identyczne mieszkanie dla każdej rodziny, bez względu na jej liczebność (od 3 do 10 osób), składało się ze sporej izby mieszkalnej, kuchni z piecem kuchennym i do pieczenia chleba oraz niewielkiej komory, oświetlane było lampą naftową. Najstarszy, piętrowy czworak miał na parterze klepiska zamiast podłóg, popękane ściany i nieszczelny, ciągle ciekący dach. W obrębie podwórza znajdowały się obora, chlewnia, piwnice ziemne poszczególnych rodzin oraz jedna podwójna sławojka na blisko setkę użytkowników. Była zwykle w fatalnym stanie i mało kto z niej korzystał.

Bardziej gruntowne remonty czworaków, zwłaszcza najstarszego, odkładane były z roku na rok na lepsze czasy. Dlatego gdyby zamiast Peerelu powrócił przedwojenny *status quo*, nie wyobrażam sobie, kiedy ojca byłoby stać na poprawę warunków bytowych służby folwarcznej, w tym na bardziej zasadnicze remonty. Dodam jeszcze, że stan czworaków w znanych mi kilku okolicznych majątkach ziemskich niewiele różnił się od naszego. Wszystko to, co opisałem wyżej, wywoływało u mnie poczucie jakiejś wielkiej niesprawiedliwości, frustrując moją dziecięcą-młodzieńczą świadomość.

Kolejna sprawa, która mnie w dzieciństwie frustrowała, to zakaz bawienia się z moimi folwarcznymi rówieśnikami. Egzekwowały go rygorystycznie najpierw bony, później nasze nauczycielki. Czasami robiono wyjątek i mogłem bawić się w parku z równolatkiem, synem naszego lokaja. Był on jednak słabo rozgarnięty i na „kumpla” się nie nadawał, a wspólna zabawa polegała głównie na tym, że to ja go zabawiałem. Podczas wakacji miałem trochę więcej luzu i towarzystwo dzieci krewnych, które przyjeżdżały do nas, lub my jeździliśmy do nich.

Wychowywani byliśmy również na zasadzie wykonywania części naszych codziennych czynności przez służbę. Służba ścierała nam i słała łóżka, wylewała nocniki, zaplatała siostrze warkocze, czyściła buty, sprzątała po nas zabawki, myła naczynia itd. Od tego była służba dworska (pokojówki), takie standardy obowiązywały we dworach i za taki tryb wychowywania nie mogę nikogo winić.

Wojna i warunki podwojonej, a okresowo i potrojonej, liczby mieszkańców dworu oraz nasze (tj. dzieci) dora-

stanie, nie tylko w sensie fizycznym, ale i umysłowym, zmieniły na szczęście znacznie tryb wychowywania nas, ze szczególnym naciskiem na samodzielność i odporność na niesprzyjające warunki, których później ludowa ojczyzna nam nie poskapiała.

Stosunki pracy dwór–służba folwarczna nie są w ogóle porównywalne z obecnymi, mimo że ostatnio tyle się o nich mówi i pisze. Ale do takiego wniosku doszedłem dopiero, kiedy sam zacząłem pracować. Służba folwarczna dzieliła się na ordynariuszy i pracowników dniówkowych. Pierwsi otrzymywali stałe wynagrodzenie miesięczne i świadczenia, drudzy – wynagrodzenie dniówkowe, ale tylko za dni przepracowane i tylko niektóre świadczenia. W sezonie jedni i drudzy pracowali od świtu do zmroku i często w niedziele i święta, ale pojęcie nadgodzin nie było w ogóle znane. Wynikało to stąd, że w zimie jedni i drudzy pracowali znacznie krócej, a dniówkowi okresowo w ogóle nie pracowali i wówczas nie otrzymywali dniówek. Bilansowaniem nadgodzin z godzinami wolnymi nikt się wówczas nie bawił, ale przewaga tych pierwszych była oczywista. Działały już wprawdzie porozumienia związkowe określające minimalne stawki wynagrodzenia i dość dokładnie sprecyzowane świadczenia oraz sprawy nawiązywania i rozwiązywania stosunku pracy, ale aktywność związkowców w naszych stronach była znikoma i dlatego większość spraw w stosunkach dwór–pracownicy folwarczni i określanie wzajemnych praw i obowiązków było rozwiązywane zwyczajowo.

Dekret o reformie rolnej, powstały pod osobistym nadzorem Stalina, dokończył proces likwidacji ziemiaństwa jako warstwy społecznej zapoczątkowany przez cara Aleksandra II Romanowa podczas i po powstaniu styczniowym. Liczne majątki ziemian zaangażowanych w jakimkolwiek stopniu w powstanie zostały skonfisko-

wane a ich właściciele, jeżeli nie zginęli w walce, nie zostali straceni lub nie uszli za granicę, szli na Sybir na zsyłkę. Części ziemian, którzy później płaszczyli się przed carem, udało się powrócić do swoich majątków. Proces rewindykacji właścicielom skonfiskowanych majątków po odzyskaniu niepodległości przebiegał wyjątkowo ślamazarnie. Przerwał go wybuch wojny w 1939 roku. Tylko nielicznym udało się powrócić wówczas na swoje, to znaczy na ziemię antenatów.

Na zakończenie pragnę przytoczyć znamienne wypowiedź red. Adama Sikorskiego z Rozgłośni Lubelskiej Polskiego Radia w programie Towarzystwa Wiedzy Powszechnej Historia „Było, nie minęło”, że nasze współczesne społeczeństwo wie więcej o greckich i rzymskich zabytkach architektonicznych niż o polskich pałacach i dworach, które w naszej historii odegrały taką rolę i których znakomita większość znikła już bezpowrotnie z polskiego krajobrazu lub nadal niszczeje.

Wspomniany program, poświęcony głównie naszym zrywom narodowym, związaną z nimi martyrologią oraz utrwalaniem pamięci o tych sprawach współczesnemu i przyszłym pokoleniom, stosunkowo często gości w ziemiańskich dworach, lub raczej miejscach, gdzie one istniały. Przy tej sposobności wspomina ich właściciele – ziemian, uwypuklając rolę dworu w powstaniu styczniowym. Oczywiście nie wszystkie, ale znaczna ich część to były przecież powstańcze bazy, gdzie powstawały i skąd wychodziły do walki powstańcze oddziały. Niestety tylko nieliczni o tym wiedzą.

Po upływie 140 lat od upadku powstania zapamiętamy więc, że również podczas ostatniej wojny zbliżoną rolę wobec Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych spełniały ziemiańskie dwory istniejące jeszcze wówczas na obszarze Generalnej Guberni.

Edmund Mazik

Wspomnienia z wojska

W listopadzie 1957 r. zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej jako poborowy. Skierowano mnie do Sudeckiej Brygady WOP w Kłodzku. 10 listopada 1957 r. zakwaterowałem się w tej jednostce wojskowej wraz z kilkoma kolegami z Urzędowa i okolic. Po przybyciu do jednostki w pierwszej kolejności skierowano nas do fryzjera celem obcięcia włosów do gołej skóry, następnie łaźnia i ubiór w wojskowe uniformy. Cywilne ubrania należało spakować w paczki i wysłać do swoich domów. W dalszej części służby odbyła się selekcja rekrutów – kto do jakiej kompanii, plutonu, drużyny zostanie przydzielony. Ja zostałem przydzielony do batalionu Szkoły Podoficerskiej. Nie bardzo byłem z tego zadowolony, bo wiedziałem, że prawie cały rok trzeba będzie szkolić się, aby otrzymać stopień podoficerski. Najmniej wysiłku włożyli ci, którzy zostali przydzieleni do szkolenia 3-miesięcznego, a następnie przeszli do służby bezpośrednio na granicy w brygadzie. Przysięga odbyła się 4 stycznia

1958 r. na placu alarmowym jednostki z udziałem rodzin żołnierzy składających przysięgę.

Początek służby był stresujący. Każdy w milczeniu czekał na rozkazy dowódców drużyn. Capstrzyk był o godzinie 22.00, trębacz na placu alarmowym wygrywał hejnał do snu. Wojsko po ułożeniu mundurów w kostkę musiało być już w łózkach. Łóżka były piętrowe, sienniki napychane słomą, na sali żołnierskiej spała cała drużyna z podoficerem. Podoficer dyżurny kompanii sprawdzał czy kostki z mundurów były równo ułożone, czy buty były czyste. Jeżeli zauważył jakieś uchybienia rozwałkał całość ubrań i trzeba było od nowa układać mundury. Pobudka była o godz. 6.00 rano grana przez trębacza na placu alarmowym, następnie szybki bieg na gimnastykę. Bieg po placu alarmowym odbywał się w takt muzyki granej przez orkiestrę jednostki a następnie gimnastyka na 16 temp trwająca 30 minut, także przy muzyce. Do tej pory pamiętam melodie, które były grane. Po gimnastyce powrót do

sal żołnierskich celem zasłania łóżek, zrobienia porządków oraz umycia się. Po wypełnieniu tych obowiązków był wymarsz na stołówkę na śniadanie ze śpiewem w czasie marszu. Po śniadaniu był apel całej brygady i zajęcia na sali wykładowej lub na poligonie w zależności od tematu zajęć. Na poligonie były ćwiczenia z taktyki pojedynczego strzelca i drużyny, graniczne, ogniowe, topografii, natomiast na sali wykładowej były wykłady z propedeutyki nauki o społeczeństwie, opis broni i zajęcia polityczne. Wychowanie fizyczne było ćwiczone na placu alarmowym, gdzie były drażki i poręcze, a skrzynie i konie na sali gimnastycznej. Batalion szkolny liczył 2 kompanie po 3 plutony. Ja służyłem w II kompanii 6. plutonu CKM. Każdy elew miał broń osobistą PM, a cała drużyna miała na stanie CKM typu „Goriunowa”. Po zajęciach na sali lub w terenie o godz. 15.00 cały batalion szkolny maszerował do stołówki na obiad. Przemarsz odbywał się oczywiście ze śpiewem na ustach. Po obiedzie, w drodze powrotnej do koszar obowiązkowo tyralierą trzeba było przejść przez plac alarmowy aby wybierać różne śmieci. W koszarach po obiedzie był czas wolny około 2 godzin, następnie nauka własna.

W niedziele i święta pobudka była o godzinie 7.00 bez gimnastyki. Po śniadaniu był wymarsz kompanii na miasto do kina. W soboty i niedziele plutony szkolne luzowały pluton wartowniczy, który na co dzień miał za zadanie pełnić wartę.

Nauka w szkole trwała 10 miesięcy i kończyła się egzaminem końcowym ze wszystkich przedmiotów jakie były w programie nauczania. Duży nacisk kładziono na strzelanie z różnej broni, jak PM, KBK, RKM, CKM. Aby otrzymać stopień kaprała trzeba było mieć wszystkie oceny na egzaminie minimum dobre. Jedna ocena dostateczna na egzaminie zamykała drogę do stopnia kaprała, zostawało się starszym szeregowym. Ja egzamin końcowy zdałem z wynikiem dobrym i awansowano mnie do stopnia kaprała.



Po awansie dostałem przydział do Karpackiej Brygady WOP w Nowym Sączu w Batalionie „Sanok”, gdzie czekaliśmy na nowy rocznik, by rozpocząć szkolenie młodych żołnierzy. Buty żołnierskie były z podeszwą skórzaną, a w zelówce były umocowane tzw. gwoździe. Przemarsz po bruku w takich butach i komenda „baczność” całego batalionu to było może ze 100 decybeli głośności. Mój

pluton jako jedyny był szkolony w obsłudze CKM celem późniejszego przydziału do poszczególnych brygad WOP w Polsce. Dlatego ja i trzech moich kolegów otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu do Karpackiej Brygady WOP w Nowym Sączu. Szkolenie młodego rocznika trwało od października 1958 r. do kwietnia 1959 r. W czasie szkolenia trzeba było m.in. dobrze opanować jazdę na nartach w białych kombinezonach maskujących. Po wyszkoleniu młodzi żołnierze skierowani zostali do poszczególnych strażnic w górach, by pełnić ochronę granicy z Czechosłowacją.



Granica w większości przebiegała szczytami gór, ale były także i równiny, dlatego w tych miejscach można było zaorać i zabronować pas ziemi o szerokości około 10 m. Zadaniem patrolu granicznego było sprawdzanie czy nie było śladów stóp na zabronowanym pasie ziemi, były także podsłuchy, patrole wahadłowe, jak i obserwacja. Po wykryciu śladów patrol graniczny meldował na strażnicę drogą elektroniczną o naruszeniu granicy państwa. Patrol alarmowy wyruszał na miejsce przerwania granicy wraz z psem służbowym, by podjął trop i szukał sprawcy naruszenia granicy. Ja na granicy pełniłem funkcję oficera dyżurnego strażnicy lub kontrolera żołnierzy w terenie. Nadmieniam, że mundur wyjściowy był bardzo efektowny. Efektu tego dodawała mu najbardziej obszerna peleryna przerzucona przez lewe ramię oraz kapelusz z orzełkiem i pawim piórkem, gdyż była to Brygada Podhalańska. Do cywila wróciłem w październiku 1959 r.